№ 20.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.




Warszawa, dnia 5 (17) Maja 1871 roku

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11 1/4, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33 3/4). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **H**osicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.



# B. F. TRENTOWSKI.

Bronisław Ferdynand Trentowski, urodził się dnia 21 stycznia 1807 r. we wsi Opole, niedaleko od Warszawy położonéj. Do dwunastego roku życia odbierał staranne domowe wychowanie, następnie w liceum łukowskiém, jako wzorowy uczeń, przez lat sześć, od 1819 do 1825 r., gdzie już umysł młodego Bronisława filozofiją był zajęty. Największą też jego przyjemnością był Aristoteles, Plato, Platinus, Wolf, Cousin, Homer, Dante, Tasso, Petrarka, Rasin, etc. W r. 1825 wstąpił do Warszawskiego Uniwersytetu, na wydział filozofii i filologii, gdzie pierwszym jego profesorem filozofii był Lach Szyrma. Prócz tego słuchał także wyższéj matematyki i nauk przyrodzonych. Ale warszawskie wykłady nie zadawalniały szukającego absolutnéj prawdy młodzieńca. To też zaraz po otrzymaniu w r. 1827 dyplomu magistra filologii, udał się do Mnichowa (Monachium), zkąd, dostawszy od profesora Schelinga rekomendacyą do Hegla i Schleiermachera, profesorów w Berlinie, pojechał do Berlina. Tu słuchając przez jedno półrocze filozoficznych wykładów, następnie udał się do Paryża, gdzie znów przez jedno półrocze słuchał w Sorbonie filozofii Cousina, historyi Guizota, literatury Vilmaina i t. p. Z początkiem 1829 roku powołany został do kraju na profesora literatury i historyi w gimnazyum szczucińskiém, w województwie augustowskiém.



B. F. Trentowski.

Trentowski przyjął powierzony mu urząd profesora i piastował go zaszczytnie rok tylko jeden. Był jednocześnie współpracownikiem *Pszczółki*, wychodzącéj w Warszawie, i wydał w *Pamiętniku Warszawskim* obszernie opisane: *Podstawy języka polskiego.*

Zbiegiem wypadków i okoliczności, Bronisław Trentowski udał się znów za granicę.

W Królewcu słuchał filozofii Herbarta, a w 1832 r. przybywszy do Heidelberga, znakomite odniósł korzyści z wykładów Dauba, Jakobiego, Fichtego, Schelinga, Okena, Badera i w. i. W roku 1836 otrzymał we Freiburgu dyplom doktora filozofii.

Tak dla własnéj spokojności, jako też dla zapewnienia sobie stanowiska i chleba, starał się usilnie o naturalizacyą badeńską, którą też wkrótce, przy pomocy przychylnych mu osób, uzyskał.

Z przybyciem Trentowskiego do Freiburga, zmieniły się, skutkiem śmierci ojca, jego familijne stosunki, tak dalece, ze nasz filozof znalazł się bez sposobu do życia. Często bardzo suchym kawałkiem chleba, przez dawanie korrepetycyj zapracowanym, musiał zaspakajać niezbędne potrzeby swego apetytu. Zacny, poczciwy, nienatrętny i rozumiejący smutne położenie młodego lokatora gospodarz, u którego w skromnéj izdebce mieszkał Trentowski, jak mógł oszczędzał mu zmartwień i przykrości, a nieraz nawet i z pomocą przychodził. Gospodarz ten miał dorosłą, ładną i dobrze wychowaną córkę. Piękna Karolina ratowała często naszego filozofa w bardzo delikatny i niedający mu poznać sposób. Ona utrzymywała skrycie, od zupełnego upadku, smutny stan jego garderoby, a podczas ciężkiéj słabości Trentowskiego, ratowała go jak własna siostra. Bronisław oceniając to bezinteresowne poświęcenie się Karoliny, zaślubił ją d. 22 lutego 1838 r.

Przez lat 30 żyli ze sobą bardzo szczęśliwie. Bóg obdarzył ich trojgiem dzieci, z których jedna tylko córka Olimpija, żona Emilijana Butkiewicza, żyje jeszcze dotąd.

Trentowski będąc mężem i ojcem, musiał się starać o stanowisko i chléb dla swéj familii. Nie widział dla siebie nic lepszego jak ubieganie się o prywatną docenturę filozofii. Napisał więc rozprawę, pro facultate legendi p. t. *De vita hominis aeterna*, bronił jéj publicznie i otrzymał konkurs prywatnego docenta filozofii przy uniwersytecie freiburgskim.

Niepodobna jest w téj chwili szczegółowo opisywać wszystkich prac Trentowskiego. Powstrzymuję się i od ocenienia takowych, gdyż to przechodzi zakres niniejszego pisma. Wymienię jednak z nich najznaczniejsze—pozostawiając czytającym je sąd nad ich duchem, pięknością myśli i jędrnością języka, jako charakterystycznemi cechami wszystkich w ogóle dzieł ś. p. Bronisława.

Trentowski z początku pisał najwięcéj po niemiecku. Z tego okresu zasługują na uwagę dwa jego dzieła, których doniosłość słuszną autorowi przyniosła sławę w świecie naukowym: 1) *Die Grundlage der universallen Philosophie*, wydane w 1837 roku,

2) *Vorstudien zur Wissenschaft der Natur oder Uebergang von Gott zur Schöpfung*, wydane w r. 1840. Dzieło to zrobiło wielki chaos pomiędzy myślicielami, a Trentowskiemu sypały się ze wszech stron dyplomy na członka honorowego wielu naukowych towarzystw, jako to: z Paryża, Wiednia, Berlina, Freiburga, Krakowa i t. p.

W skutek wyrzutów, jakie dzienniki polskie robiły mu, że nie pisze po polsku tylko po niemiecku, oraz w skutek prześladowań nierozsądnych fanatyków religijnych, którym wykład filozofii jego bardzo nie smakował, Trentowski podziękował za prywatną docenturę i poświęcił się odtąd wyłącznie polskiéj filozofii. Od r. 1840 można go więc liczyć do mężów literatury polskiéj. W tym znów okresie zasługują na szczególniejszą uwagę następujące jego prace: 1) *Chowanna*, Poznań 1842 r. Jest to obszerne w 4-ch tomach dzieło, w rodzaju pedagogii, opartéj na zasadach psychologii i polityki nie indywidualnéj lecz całéj ludzkości. 2) *Myślini*, Poznań 1844 r., dzieło w dwóch tomach, przedstawiające pilnie wypracowaną filozoficzną logikę, opartą na prawdziwych podstawach, odpowiadających czasowi filozofii. 3) *Stosunek filozofii do Cyburnetyki*, Poznań, 1843 r. 4) *Demonomania, czyli nauka nadziemskiéj mądrości w najnowszéj postaci*. 5) *Urywki polityczne* — i wiele innych. Najgłówniejsze zaś Trentowskiego dzieło: *Panteon wiedzy ludzkiéj*, znajduje się jeszcze w manuskrypcie. Dzieło to obejmuje trzy duże tomy i jest rodzajem filozoficznéj encyklopedyi, na któréj dotąd zbywało naszéj literaturze. Libelt powiedział, że *Panteon wiedzy ludzkiéj przechodzi wszystko co tylko dotąd o filozofii napisano.* Ma się jeszcze znajdować, także wrękopiśmie, obszerne w 5-ciu tomach dzieło p. t. *Bożyca.*

Na różne a nieuzasadnione niektórych osobistości przeciwko Trentowskiemu zarzuty, śmiało i z całem przekonaniem możemy dziś odpowiedzieć, że był to człowiek, aż do ostatniéj chwili życia, zacny, uczciwy, pracowity, najlepszy ojciec, przewodnik rodziny, i sumienny pracownik na polu nauki i oświaty.

Trentowski zmarł d. 16 Czerwca 1869 r. Dnia zaś 19 tegoż miesiąca przeniesiono zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku.

# Do Jaskółki.

Jaskółeczko! jaskółeczko!
Z czém przybywasz do téj wioski?
Gdzie twa strzecha i gniazdeczko?
Ty ptaszyno Matki Boskiéj.

Gdy pomuśniesz już błękity,
Kiedy pierwsza witasz świty,
To przybywa już pociechy,
Z wiosną do téj wiejskiéj strzechy.

Ale zkąd ci to ptaszyno
Przyszło do mnie tu zawitać?
Czy że skrzydła światem płyną?
Czy chcesz może o co spytać?

Ja cię tylko słyszeć mogę,
I przeżegnać twoję drogę;
Powitanie nic zatrzyma,
Bo spoczynku dla cię nie ma.

Między ziemią a błękitem,
Lekkiém skrzydłem zawieszona—
Gdzie za tobą iść opytem?
Gdzie przysiędziesz przytulona?

Ty pomuśniesz daléj skrzydłem,
Po nad łąki, po nad wody;
To płyń sobie na swobody,
Płyń skrzydłami i oczyma,
Prowadzona tém wędzidłem,
Jakie Bóg w swéj łasce trzyma.
I nieś Boże te pociechy,
Sługom bożym dobréj woli,
Ludziom pracy, ludziom roli,
Pod te nizkie wiejskie strzechy.

*W. Pol.*

# KANDYA I KANDYOCI.

(*Dokończenie*).

Z tych wszystkich przyczyn wolny wybór chrześcijańskich reprezentantów był także jedném z najgłówniejszych żądań, jakie Kandyoci postawili Porcie w czasie powstania 1858 r. Porta zrazu zgodziła się na to żądanie. Za czasów Sami-Paszy wybory były wolne. W kilka miesięcy potém, zaraz po swém przybyciu na wyspę, Hussein-Pasza złożył z urzędu wybranych członków medżlisu i rad municypalnych i rozpisał nowe wybory. Ponieważ wkrótce został odwołany i zastąpiony przez Izmaela-Paszę, wybory więc i tą razą jeszcze dały się odbyć bez wpływu władzy. Żadnéj jednak gwarancyi ich swobody na przyszłość nie ma, tymbardziéj, że poprzednie rządy nie umiały wykształcić w ludności Kandyi dostatecznego poczucia ich ważności.

Próżném byłoby usiłowaniem chcieć skreślić arcy-komiczną, choć w gruncie arcy-smutną scenę, jaką przedstawia każde posiedzenie medżlisu. Obie strony, turecka i chrześcijańska, krzyczą jednocześnie z całego gardła, sędziowie przybierają na siebie rolę adwokatów, mięszają się do wrzawy i tem niezrozumialszą ją czynią. Należy przytém pamiętać, że prezydujący, mollah i mufti, wszyscy przybyli z Konstantynopola, nie umieją ani słowa krajowego języka, tureccy zaś równie jak greccy członkowie medżlisu, tylko po grecku mówią, co się przyczynia do tym większego jeszcze chaosu.

Również byłoby niepodobném opisać opłakany stan więzień, gdzie w bezładném pomięszaniu osadzeni są przestępcy wszelkiego rodzaju razem z prostymi dłużnikami, i gdzie nieraz znacznie dłużéj nad czas oznaczony wyrokiem pozostawać muszą, jeżeli się nikt wpływowy o ich uwolnienie nie wstawi.

Od objęcia zarządu wyspy przez Izmaela-Paszę, ustanowione zostały medżlisy w każdym z 22 powiatów wyspy, lecz te sądy powiatowe, których członkowie również pochodzą z wyborów, nie wzbudzają nawet takiego zaufania jak sądy wyższe w Kanei, Rettimo i Kandyi.

Szczególną jest ta okoliczność, w stosunkach kandyjskich, że ludzie, którzy używają najlepszego nawet między wspólmieszkańcami imienia, skoro tylko przez nich samych do medżlisu wybrani zostaną i w składzie jego zasiadać zaczną, natychmiast tracą poważanie i stają się przedmiotem pogardy. Przyczyna tego jest łatwa do pojęcia. Z jednéj strony stanowisko jakie zajmują zmusza ich do robienia ustępstw swoim tureckim kolegom i mianowanemu przez paszę prezydentowi, jako reprezentantowi wyższéj woli, z drugiéj zaś strony muszą często okazywać pobłażanie nawet dla takich podsądnych, którzy winni są kradzieży, rabunków i napaści w rozmaitych gminach, a to raz dla tego, że gdyby sumiennie wykonywali swe obowiązki, niechybnieby zostali złożeni z urzędu, a powtóre dla tego, że rabusiów oszczędzać muszą, ażeby w razie gdy sami ulegną prześladowaniu, znaleść mogli u nich w górach schronienie.

Niezależnie od spraw cywilnych, kryminalnych i poprawczych, które należą do kompetencyi medżlisów, są w Kanei, Rettimo i Kandyi, sądy handlowe, złożone z dwóch turków, dwóch chrześcijan i prezydującego turka. Bezkształtne i niedokładne tłumaczenie francuzkiego kodeksu handlowego na język turecki i grecki, służy im za podstawę w wyrokowaniu. Za czasów Mustafy-Paszy, sądy te dawały jednak gwarancyą sprawiedliwości. Pasza ten bowiem postanowił, aby bez względu na narodowość stron, deputowani konsulatów byli obecni roztrząsaniu i zawyrokowaniu każdéj sprawy sądowéj. Obecnie konsulaty przyzywane są tylko wtenczas, gdy sprawa toczy się między tureckim poddanym i cudzoziemcem.

W państwie tureckiém istnieje jeszcze jeden tylko właściwy trybunał, nazywający się *mekheme*. Instytucya ta dopiero w ostatnich czasach doszła do zupełnego rozwoju na Kandyi i najmocniéj obraża wiele odwiecznych zwyczajów, które przed jéj zaprowadzeniem zapewniały jakąś wolność Kandyotom.

Mekheme, sąd zostający pod prezydencyą kadego i mollaha, jest jedynym trybunałem, który właściwie i ogólnie prawo muzułmańskie przypuszcza. Sąd ten stosuje przepisy koranu do wszelkich wypadków, jakie pod jego rozstrzygnięcie przedstawiane zostają. Widoczną więc jest zasadnicza różnica pomiędzy medżlisem i mekheme: tam koran tylko przekroczonym być nie może, tutaj zaś służy za punkt wyjścia. To też medżlisy są koncessyą, ustępstwem, mekheme zaś jest pierwowzorem, prawidłem. Do czasów powstania grec-

kiego, a nawet w pierwszych latach panowania wice-królów egipskich, sądy tego rodzaju, jakkolwiek prawnie istniały, bardzo mały wpływ wywierały na chrześcijańską ludność wyspy, lecz od 28 mniéj więcéj lat, stały się źródłem krzyczących nadużyć i szykan.

Do przedstawionego tutaj obrazu tureckiego sądownictwa na Kandyi dodać należy, że mollahowie w wypadkach kryminalnych i poprawczych z zasady zawsze odrzucają świadectwo chrześcijan, dopuszczając go tylko wyjątkowo, na wyraźny rozkaz paszy. Te okoliczności, w połączeniu z przedstawionemi poprzednio, dają dostateczne pojęcie jak zgubnym jest wpływ przedstawicieli koranu na wszystkie stosunki Kandyotów i dla czego podczas powstania 1858 roku, mieszkańcy Kandyi tak wielką przywiązywali wagę do tego, żeby wpływ mollahów na sprawy chrześcijan stanowczo usuniętym został.

Doświadczenie nauczyło, że ta reforma, jakkolwiek część innych w owym czasie zrobionych ustępstw przeprowadzoną została, nie weszła jednak w wykonanie, a przedstawiciele Porty starają się przekraczać ją faktycznie, lub przemilczeniem o niéj odbierać jéj ten uroczysty i autentyczny charakter, jaki jéj urzędownie przed niewielu laty gubernator Sami-Pasza, admirał Ahmet-Pasza i Vely-Pasza nadali.

Na zakończenie podamy tutaj dane, jakie zebrać mogliśmy o ludności, płodach, handlu i przemyśle Kandyi.

Dla braku porządnych spisów, ludność Kandyi oznaczyć można tylko przez przybliżenie. Według najwiarogodniejszych przypuszczeń wynosi ona dzisiaj zaledwie 280 do 300,000 dusz, z których trzy czwarte najmniéj, czyli około 220,000 należy do kościoła wschodniego, reszta zaś wyznaje islamizm, chociaż nawet muzułmanie Kandyoci są z rzadkiemi wyjątkami pochodzenia greckiego i mają też same obyczaje co chrześcijanie. Wiary swojéj wyrzekli się oni częścią za czasów zdobycia wyspy przez turków, częścią późniéj i świeżo nawet, tak, że nie ma nic pospolitszego na Kandyi, jak spotkać mahometan mających matki i córki chrześcijanki. Uderzającém i smutném jest przecież, że ta wspólność pochodzenia, mowy i obyczajów, te bliskie związki pokrewieństwa, z powodu których w codziennych stosunkach trudno jest na pierwszy rzut oka odróżnić wyznawcę koranu od chrześcijanina, bynajmniéj nie wpływa na usunięcie a nawet na złagodzenie religijnéj nienawiści.

Jakkolwiek niezaprzeczonym jest zgubny wpływ mahometańskiego władztwa na moralny i materyalny rozwój chrześcijan na Kandyi, należy przecież żywotności i wytrwałości Kandyotów przypisać tę niemniéj prawdziwą okoliczność, że mimo wszelkich paraliżujących oddziaływań, chrześcijańska ludność wyspy, w ciągu ostatnich lat trzydziestu, wzrosła w liczbę i w zamożność, ilość gruntów do niéj należących powiększyła się znakomicie, podczas gdy turcy, skutkiem swego lenistwa i niedbalstwa, wielu swych posiadłości pozbyć się musieli.

Gdyby kandyoci przy żyzności swéj ziemi i łagodności klimatu, korzystać jeszcze mogli z dobrodziejstw oświeconego rządu, płody téj tak hojnie przez przyrodę uposażonéj wyspy, stałyby się jeszcze obfitszemi źródłami dla handlu i przemysłu, niż są w téj chwili.

Według danych niewątpliwych, które niestety jednak tylko do roku 1858 sięgają, wywóz Kandyi przedstawiał w tym roku wartość 15,373,000 fr. Największe miejsce wtéj summie zajmuje oliwa i mydło. Pierwszéj bowiem wywieziono za 5,408,000 fr. a mydła za 7,225,000 fr. Daléj idzie jedwab', migdały, wosk, chléb świętojański, sér, gąbka, oléj lniany, wełna, kasztany, miód, pomarańcze, skóry kozie, wino, rodzenki i t. d. Chodowla jedwabników z każdym rokiem większe przybiera rozmiary. Chociaż dla braku danych niepodobna jest ściśle oznaczyć ogólnéj produkcyi lat następnych, jest jednak prawie pewném, że w ciągu lata 1860 r. wywieziono około 1200 ok (3000 funtów) jaj jedwabniczych, które włoscy spekulanci, z powodu panującéj w Europie choroby jedwabników, tutaj zakupowali. Przywóz wynosił w r. 1858 około 17,177,000 franków, wyższym więc był od wywozu o 1,800,000 fr. Stanowiły go głównie: zboże, towary kolonijalne, suszone ryby, sukno, tkaniny, skóry, garnki, wyroby żelazne i stalowe, deski, belki, żelazo, tytuń i t. d.

Według danych z téjże epoki, znajdowało się na Kandyi 3000 tłoczni oleju, zatrudniających 9000 robotników, 50 fabryk mydła, z których 45 z 315 robotnikami było czynnych, 3 przędzalnie jedwabiu, mało jednak mające zajęcia, gdyż chodownicy jedwabników sami zajmują się przędzeniem. Płaca dzienna robotnika w olejarniach i mydlarniach, wynosi około 2 fr., w przędzalniach jedwabiu 3 fr. 50 cent.

Chrześcijanie kandyoci mało okazują pociągu do handlu i przemysłu. Z wyjątkiem niewielkiéj liczby greckich, francuzkich i włoskich kupców, oraz greckich i żydowskich kramarzy, cała działalność handlowa i przemysłowa, szczególniéj w Kanei, zostaje w ręku muzułmańskich kandyotów, którzy nie ograniczając się na handlu nadmorskim lub z miastami składowemi Lewantu, puszczają się często na dalsze i obszerniejsze przedsięwzięcia.

Nadużycia i ucisk przygniatają producentów, którymi prawie wyłącznie są chrześcijanie. Spekulanci, szerząc zatrważające wieści, wyzyskują ich łatwowierność, prawo utrudnia im odbyt produktów, zabraniając niektóre z nich gdzieindziéj, jak do jednego z trzech miast prowincyonalnych, Kanei, Rettimo lub Kandyi, na sprzedaż przywozić, co przy złym stanie dróg jeszcze bardziéj jest uciążliwém. Te okoliczności zmuszają często rolników brać z miast zaliczenia na dostawić się mające produkta, skutkiem czego stają się zależnymi od dowolności i chciwości handlarzy i kapitalistów.

Patrząc na ład, zamożność i wykwint nawet pewien w kantorach niektórych muzułmańskich kupców na Kandyi, przyglądając się dobrobytowi jakiego używają, i widząc ich grzeczność i usłużność w obejściu z europejczykami, możnaby myśleć, że ta trocha cywilizacyi, jaką na wyspie spotkać można, wyłącznie w bogatszéj i zajętéj handlem klassie mahometan się spotyka; tak przecież nie jest, przynajmniéj w głębi kraju, gdzie żywioł chrześcijański ma za sobą wyższość nietylko liczebną, lecz i moralną, i ciągle się rozszerza, gdy muzułmanie zazwyczaj po wsiach biednieją, posiadłości swoje sprzedają i do miast przenosić się muszą. Mieszkańcy górzystego okręgu Sfakji, których, z powodu miłości swobody i pewnych przywilejów, oddawna nabytych, postawić można obok mieszkańców okręgu Zagoriskiego w Epirze, odznaczają się duchem przedsiębiorczym i wielką zdolnością do żeglarstwa. Wogólności, między sfakijotami spotkać łatwo ludzi posiadających znaczne posiadłości i używających dobrobytu; z wyjątkiem tych górali jednakże, niewielu chrześcijan oddaje się żegludze i handlowi nadmorskiemu lub zamorskiemu.

Wyspa Kandyja dzieli się, jak to już powiedzieliśmy, na trzy prowincye i dwadzieścia dwa powiaty.

Miasto Kanea, starożytny Cydon, leży na północno-wschodniém wybrzeżu i jest stolicą wyspy Kandyi. Tutaj rezyduje pasza, tu także bawią konsulowie Francyi, Anglii, Rossyi i Włoch. Miasto ma cytadelę, port z latarnią morską i jest najhandlowniejszém na całéj wyspie; ludność zaś jego liczyć można na 15 do 16 tysięcy, z których przeszło 10,000 mahometan, reszta zaś składa się z miejscowych chrześcijan greków, oraz greków przybyłych z innych prowincyj, a także i z pewnéj liczby cudzoziemców różnych narodowości. Kanea ma biskupa i dwa kościoły greckie, klasztor rzymsko-katolicki kapucynów i mały zakład francuzkich sióstr miłosierdzia, którego przełożona przy pomocy dwóch sióstr utrzymuje szkółkę dla dzieci łacińskiego i greckiego obrządku.

Rettimo, stolica prowincyi tego nazwiska, niedawno jeszcze była biedną mieściną, wzrosła głównie w ostatnich czasach. Liczy obecnie około 8000 mieszkańców, z których czwarta część chrześcijan a reszta mahometan. Jest również stolicą greckiego biskupstwa, ma jeden kościół grecki i jeden niedawno zbudowany łaciński.

Kandya, po grecku Heraklion, założona przez arabów 823 r., była poprzednio stolicą wyspy, dziś zaś jest tylko głównem miastem prowincyi, która od niéj bierze nazwisko. Jest punktem obronnym, w którego dziejach pamiętne jest długoletnie oblężenie przez turków w wieku XVII. Leży na północném wybrzeżu, ma port dla mniejszych statków, większe zaś przybijają do przeciwległéj wyspy Dia. Ludność miasta Kandyi wynosić może 20,000, z których trzecia część chrześcijan. Kandya jest rezydencyą arcybiskupa greckiego, metropolity wyspy, posiada katedrę i kilka kościołów greckich oraz parę łacińskich. W r. 1856 trzęsienie ziemi zrujnowało część tego miasta, które za Wenecyan było bardzo handlownem, lecz dziś znajduje się w upadku.

Wszystkie te trzy największe miasta noszą do dziś na sobie wyraźne ślady panowania Wenecyan. Dawne proste, szerokie, dobrze zabrukowane ulice, nie straciły dotąd zupełnie swojéj cechy, pomimo zabudowania ich w części niekształtnemi tureckiemi budowlami.

Inne miasta, będące stolicami powiatów, są małoznaczące. Starożytna Knossa, która za dawnych czasów była stolicą Kreteńskiego królestwa, dziś jest maleńką mieściną na północném wybrzeżu i nazywa się Ginossa. W pewnéj odległości od Ginossy, u stóp góry Psiloriti, nad brzegiem rzeki Lety, leży nędzne miasteczko Gortyna, przy którém znajdują się obszerne, częścią walące się już podziemia. Z nazwisk dzisiejszych nawet domyśleć się niepodobna że te pieczary są szczątkami słynnego labiryntu Dedala, a góra, u podnóża któréj się mieszczą, jest ową świętą Idą starożytnych, któréj tylko Włosi dotąd nazwisko góry Jowisza, zachowali.

*Wołody Skiba.*

# PANI GEORGE SAND.
## (Jerzy Zand).

OBRAZEK.

(*Dalszy ciąg*).

— Co z tobą się dzieje?—zapytała go pani Sand.
— Zapytaj pani raczéj, czego tu nie ma ze mną.
— Cóż, może twoje dzieło, *Le Droit au vol*, zbyt powolnie się rozchodzi?
— Owszem, ukaże się wkrótce w trzeciéj edycyi.
— No, więc o cóż ci idzie?
— At, dla mnie to tyle znaczy, co kropla w morzu.
— O Boże!... czémżeby ci dopomódz można? Chcesz, to ci napiszę przedmowę do téj trzeciéj edycyi.
— Czy to być może!? zawołał do łez wzruszony Nadard.
— Masz słuszność, odpowiedziała przezacna ta kobieta, biorąc wykrzyknik jego zupełnie w inném znaczeniu; moja przedmowa do dzieła o balonach, na nieby się nie zdała, bo każdemu wiadomo, że napowietrzna żegluga jest dla mnie obcym przedmiotem.
— O moja patronko droga! o najgodniejsza wszystkich utrapionych pocieszycielko!—wyrzekł Nadard, ściskając jéj rączki, czyż pani nie widzisz że jestem zachwycony tém chętném oświadczeniem i że mi już nic więcéj nie pozostaje do życzenia?

Trzeciego dnia potém, wręczyła mu kilka kart prześlicznie napisanéj przedmowy, która umieszczoną została na czele jego dzieła: *Droit au vol*.

Możnaby przytoczyć tysiące takich zdarzeń, w których szlachetna ta kobieta prawdziwym aniołem się okazała. Z ogromnych dochodów, jakie jéj przynoszą prace literackie, tylko małą cząstkę dla siebie zostawia, resztę zaś obraca zwykle na wsparcie tych biedaków, co nie są w stanie własną swą pracą zaradzić sobie i swojéj rodzinie.

Co do buchalteryi, ta zawsze przyczynia pani Sand niemało kłopotów. Ludzie, z którymi ma do czynienia, mogliby ją z łatwością ukrzywdzić na każdym kroku; przez wzgląd atoli że nie jest praktyczną w rachunkowości, najsumienniéj z nią postępują.

Pani Sand wstaje punktualnie o godzinie jedenastéj. Śniadanie jéj składa się z jednego jajka i filiżanki czarnéj kawy, bez cukru; potém rozkoszuje się marylandzkim papirosem, bez którego ją rzadko widzieć można, bo jest wielką amatorką tego narkotyku. Resztki niedopalone rzuca do małéj wazki, która stoi obok niéj na stole napełniona wodą; a kiedy to robi, cieszy się jak dziecko usłyszawszy syczenie gasnącego niedogarka. Dodać do tego potrzeba, że gościom swoim palić cygar nie pozwala.

Po śniadaniu, jeżeli nie ma pilnéj roboty, wychodzi do ogrodu, albo zabawia się grą zwaną *cochonnet* (klocek marmurowy, o dwunastu numerowanych bokach), w któréj nabyła wielkiéj wprawy. O pół do pierwszéj idzie do swego gabinetu i tam pracuje nieprzerwanie do obiadu, to jest do w pół do siódméj wieczorem. Na obiad musi mieć koniecznie z tłustego mięsa zupę, postnych zaś potraw cierpieć nie może; rzadko też na jéj stole pokazuje się ryba. Jada tylko ze smakiem smażone w maśle karaski, które sama poławia małą wędką w sąsiednim strumieniu. Lubi także owoce wszelkie a szczególnie jagody; latem podają jéj zwykle do stołu pięć albo sześć gatunków truskawek.

Po obiedzie p. Sand grywa w domino, jeżeli nie z synem albo synową, to z którymkolwiek z domowych swych przyjaciół. Jeżeli ma kogo u siebie z pierwszą wizytą, zwykle występuje przed nim z królewską powagą, trzymając się ściśle etykiety wielkiego świata. Na każde pytanie odpowiada lakonicznie, dając wyraźnie poznać, że lubi więcéj słuchać niż mówić. Przybywający do jéj zamku po raz pierwszy, a nieświadomi téj jéj małomówności, tracą czas naprożno kiedy usiłują pobudzić ją do ożywionéj rozmowy. Słucha ona nowego gościa uważnie, nawet wtenczas, kiedy już mówić zaprzestał, co właśnie znaczy, że od pierwszych słów jego buja ona rozkosznie na skrzydłach wyobraźni swojéj w krainie ideałów. Jeżeli z nią zawiążesz rozmowę o tém co się jéj podoba, naprzykład o geologii, myśl jéj, bez względu na wszystkie twoje argumentacye, natychmiast zaczyna rozwijać się właściwym jéj trybem.

Skłonnością swoją do kreacyj i widziadeł fantastycznych, zdradza się pani Sand nawet i w przedmiotach naukowych. Z położenia swego żadnéj ona nauki gruntownie posiadać nie może; przy pomocy jednak poetycznéj swéj fantazyi, przyszła do ewnych zasadniczych wyobrażeń, nietylko w historyi i geologii, ale nawet w botanice i medycynie; bo też obdarzona jest osobliwą zdolnością widzieć przed sobą to, co w rzeczy saméj nie istnieje.

Pewnego wieczoru rozłamała znaleziony w czasie porannéj przechadzki aerolit i obejrzawszy go starannie, przy świetle księżyca, zawołała z podziwieniem: „Cudowne zjawisko! patrzcie, w odłamie téj skamieniałéj materyi mieści się cały obraz przedpotopowéj natury: oto jest raj, oto drzewa, teraz już nie egzystujące; oto zwierzęta, a tam daléj, w téj jaskini, mężczyzna i kobieta, w zwierzęce skóry odziani. Jakże to zajmujące!”—Dość trafnie w tym względzie przedstawił ją swoim przyjaciołom jeden naturalista, któremu ona zwierzyła się z dziwacznych swoich przywidzeń. „Ta kobieta, powiedział, doskonale naśladuje uczonego, w chwili, kiedy spożył dozę haszyszu.”

Wieczorami, kiedy p. Sand otoczoną jest gronem zaufanych swoich przyjaciół, wynajduje gry różnego rodzaju, takie szczególnie, które wielkiéj przytomności i zręczności wymagają. Niechże kto z uczestniczących w takiéj grze niezgrabnie się znajdzie, albo upadnie, toż dla niéj takie szczęście, że się niém nacieszyć nie może. Zdarzają się częstokroć pomiędzy gośćmi, literackie albo polityczne rozprawy. Ona w takich razach ucieka się zwykle do botaniki, i wydobywszy swój zielnik, całą swą uwagę skupia na umieszczone w nim rośliny.

Czasami bawi swoich gości głośném czytaniem. Tak, razu jednego czytała jakąś powieść z *Revue des deux mondes*. Słuchano jéj z natężoną ciekawością, bo powieść zalecała się i treścią niepospolitą i pięknym stylem; ale gdy p. Sand wyszła na chwilę z komnaty, któryś z gości wziął książkę i daléj czytać zaczął; czytał z niesmakiem i wszyscy się zdziwili, znajdując w niéj brak tego wszystkiego, czém się ona w ustach p. Sand odznaczała. Okazało się, że p. Sand podczas czytania, wyprzedzając ociężałą myśl autora, zręczną ogładą jego stylu usuwała wszystkie usterki i razem improwizowała interesujące szczegóły, które zapewne i do głowy nie przychodziły autorowi.

Gdy północ uderzy, bez żadnego względu na nikogo, żegna gości i odchodzi do swojéj sypialni. Tam zająwszy się przez chwilę nocną tualetą, siada potém przy swoim literackim stole i pracuje bez przestanku, do godziny szóstéj z rana. Gdyby nawet skończyła swój utwór belletrystyczny wcześniéj naprzykład, o drugiéj albo trzeciéj godzinie, dla tego wszakże nie porzuci jeszcze pióra, a rozpocznie nową jakąś pracę. Nie ma ona zwyczaju obmyślać planu swoich powieści i romansów; pisze je zawsze bez żadnego przygotowania. Zaciekawił ją jakikolwiek fakt, czy wypadek, tego dla niéj dosyć, aby wziąć się do nowego dzieła; rozwija ten fakt całą potęgą swego artyzmu i wyprowadza z niego następstwa, jakie jéj fantazya podyktuje. Zdarza się czasem, że utwór jéj pod względem artystycznym świetnie wykonany, nie daje się pogodzić z logiką; w takim więc razie, nie mogąc wyjść z fałszywego położenia, rzuca ten utwór bez żalu i zabiera się nanowo do czego innego.

Co do mechanizmu pisarskiego, p. Sand ma także oryginalną swoję metodę. Papier pocztowy, na którym pisze, składa się w zeszyty; w każdym zeszycie powinno być koniecznie dziesięć kart, na każdéj karcie jednaka ilość wierszy, a w każdym wierszu równa liczba liter. Tym sposobem najłatwiéj zawsze może wyrachować, wiele będzie miała kart drukowanych. W każdéj swojéj produkcyi belletrystycznéj, przystępuje zwykle do rozwiązania wtedy dopiero, kiedy już ma napisanych około czterechkroć sto tysięcy liter. Rękopismy p. Sand, które zwracają się zawsze z drukarni, syn jéj oddaje niezwłocznie introligatorowi i ozdobnie oprawione przechowuje najskrupulatniéj w domowém archiwum.

To dziwna, że wszystkie bohaterki p. Sand odznaczają się męztwem i energiją, a ona sama tak dalece jest słabą, że małe nawet dziecię może ją zmusić do spełnienia wszystkiego, czego tylko od niéj zażąda. Zresztą, daje się to łatwo zauważyć że życzyłaby sobie posiadać te przymioty, którymi tak hojnie obdarza kobiety w swoich romansach. Częstokroć zdaje się jéj że to co napisała, jest rzeczywistym faktem, a ta jéj tak silna wiara w żywotność swoich pomysłów bywa niekiedy dziwacznych scen powodem.

Ma ona szczególne upodobanie kojarzyć stadła małżeńskie. Każdy z *Zandystów* może się u niéj nasłuchać do syta o powabach małżeńskiego życia; ale to tylko bieda, że małżeństwa, o jakich ona marzy, skojarzyć się nie dają. Pani Sand za nic sobie waży wszystkie indywidualne różnice w układzie społecznym i domaga się naprzykład, żeby król żenił się z pasterką, szewc z księżniczką i t. d. Dlatego najgoretsze jéj w tym względzie intencye pozostają bez skutku, a projektowane przez nią małżeństwa istnieją tylko w jéj powieściach i romansach.

(*dok. nast.*)



Ludwik IX, (święty), król francuzki. (Str. 158).

## Ludwik IX. (święty), król francuzki.

Ludwik IX, uznany przez kościół katolicki za świętego, syn Ludwika VIII. króla francuzkiego i Blanki Kastylskiéj, urodził się dnia 25 Kwietnia 1215 roku, a wstąpił na tron po ojcu swoim, roku 1226, pod opieką matki, która była zarazem regentką. Za dojściem do pełnoletności, Hugon de la Marche nie chciał mu wykonać przysięgi na lenność i wezwał na pomoc szwagra swojego Henryka III, króla angielskiego. Ludwik IX pobił ich r. 1442 pod Taillebourg i Saintes. Ucisk chrześcian na Wschodzie nanowo wtenczas obudził zapał zachodniego świata do wojen krzyżowych. Ludwik, złożonym będąc ciężką chorobą, zrobił ślub, że sam także osobiście wyruszy na Muzułmanów, jako krzyżownik — i dotrzymał słowa. W Sierpniu 1248 r., na czele 40,000 wojska, udał się do Cypru, zkąd w roku następnym przeprawił się do Egiptu, żeby po zdobyciu tego kraju tem łatwiéj utrzymać się w Palestynie. Lecz wyprawa ta, z początku bardzo pomyślna, zakończyła się wzięciem króla do niewoli, z któréj oswobodził go tylko wyliczony okup 100,000 grzywien srebra. Po trzyletniém przygotowaniu, wbrew radom samego Papieża, Ludwik IX zdecydował się na nową krucyatę. Ustanowił więc regencyą, porządek kościelny zabezpieczył przez sankcyą pragmatyczną, i w d. 1 Lipca 1270 r. w 30,000 ludzi, oraz w towarzystwie synów swoich: Filipa, Tristama i Piotra, wsiadł na okręt do Sycylii i wylądował w Afryce. Po wylądowaniu wojska krzyżowców i po zajęciu Kartaginy, Ludwik IX natychmiast robił przygotowania do oblężenia Tunisu. Ale w obozie francuzkim wybuchła zabójcza epidemija, któréj uległa większa część armii, a w dniu 25 Sierpnia 1270 r. nawet i sam król. Jego syn i następca Filip III, jak najspieszniéj zawarł pokój z Mahometanami i ze zwłokami ojca swojego powrócił do Francyi. Ludwik IX był umysłu wzniosłego i śmiałego, a Francya pod jego panowaniem do nieznanego przedtem doszła dobrobytu. Papież Bonifacy VIII, kanonizował go r. 1297.

## Cerkiew wiejska.

Któż z nas nie zna owych staruszków zgrzybiałych, porośniętych mchem, pochylających się nad krzyżykami zarosłego bujną trawą cmentarza, otoczonych płaczącemi brzozami lub rosochatemi świerkami, któż nie zna owych wiejskich cerkiewek, z których jedną przedstawia nasza rycina, podług rysunku Franciszka Tepy, zdjętego z uderzającą prawdą z natury. Któż ich nie zna? Ale zapewnie mało komu przyszło na myśl, że te wieśniaczki takie skromne i proste, są to córy architektury, która właśnie odznacza się największym przepychem form i największém bogactwem ornamentacyj. Za wzór tym cerkiewkom służyły pyszne bazyliki bizantyńskie, których przepych tak zachwycił posłów Włodzimierza, W. Ks. Kijowskiego, że postanowił przyjąć obrządek wschodni, a oddalił rzymskich katolików i mojżeszowego wyznania rabinów kozarskich, namawiających go na swoję wiarę. Lecz domy Boże przeniesione po za mury stołecznego Bizancyum, wśród cichych siół —zwieśniaczały, zeskromniały, do niepoznania.

Nie dziwić się jednak téj zmianie! Jaki kraj, jacy ludzie, takie ich mieszkania, takie ich domy modlitwy. Rozpieszczony Bizantyniec, potomek światowładnych Rzymian, lubował się w przepychu i formach miękich, okrągłych, które mu przypominały architekturę pogańskich jego przodków. Uniesiony religijném natchnieniem i poezyą mieszkaniec zachodniéj Europy, budował w obłoki strzelające wieże i ostrymi łukami wznosił się z ziemi ku niebu. Prostaczy, ubogi kmieć ruski, budował Bogu skromne przybytki, proste, ciche, jak cały jego żywot, i pomimo obcego pochopzenia zdradzające przecież, bodaj w materyale budulcowym, pewne dokrewieństwo z pogańsko-słowiańskiemi kontynami.

# OPOWIADANIE STASIA.

### POWIASTKA,

przez

### T. T. Jeża.

(*Dalszy ciąg*).

Przed szeregami dziewek zatrzymaliśmy się najdłużéj. Jaksa jednę po drugiéj oglądał i przemawiał do nich językiem niekoniecznie gospodarskim.

Przegląd zajął godzin najmniéj trzy. Słońce wzniosło się już wysoko nad horyzont i dawno dla włościan upłynął czas obiadu. Chłopi byli znudzeni i zgłodniali a zapewne i oburzeni sposobem, w jaki ich córki i siostry były traktowane. To też na wszystkie komendy i donośne krzyki Jaksy, stali jak mur i ani rusz.

Jaksa furbeczkował i wrzeszczał—oni ani rusz.

Dopiero przy pomocy ekonoma, najprzód chłopy a następnie baby i dziewki wymaszerowały z podwórza. Poszliśmy na kawę, z którą, przypatrującą się z okna całéj téj komedyi matka, oddawna na nas czekała.

— A co!... — zawołał Jaksa z tryumfującą wchodząc miną.— Widziała mama dobrodziejka?.. Ot, jak potrzeba gospodarować!... Ale musisz sprawić drugi jeszcze bęben i wypisać sobie dwóch doboszy... Bez tego wszystko na djabła się zda...

Przez cały czas przy kawie prawił o potrzebie porządku w gospodarstwie i zaręczał, że dopiero teraz żniwa pójdą jak po maśle.

— Muszę no ja jeszcze do nich wyjechać w pole...

Gdy domawiał tych wyrazów, w progu zjawił się żydek zadyszany, syn arendarza, chłopak 18—19 lat. Blada jego i przestraszona twarz i szeroko otworzone oczy, zwiastowały coś niezwykłego. Moja matka się przeraziła. Ja wstałem i poszedłem ku progu; lecz nim jeszcze usta otworzyłem, w celu zadania pytania posłańcowi jakiejś złéj wieści, żydek krzyknął:

— Aj, strach!

— Co? gdzie?...—zapytałem.

Żydek głęboko odetchnął i jednym tchem wygłosił:

— Mój tatuńcio mnie przysłali ażebym powiedział, że chłopi się zebrali w karczmie i zrobili ajwajnturę...

— Ja im przecie kazałem iść w pole!...—zawołał Jaksa.

— Oni zamiast w pole poszli wszyscy do karczmy i uradzili żeby nie iść w pole, żeby nie słuchać bębna, żeby nie chodzić na hapel, żeby tego wielmożnego pana co hapel robili nie słuchać, oni się naradzają i chcą iść do domu i powiadają... i powiadają... aj... aj..!

— Ja im pokażę!... ja im!... krzyknął Jaksa—konia!..

Służba rzuciła się do stajni, a ja tymczasem wyjrzałem oknem ku karczmie i widziałem tam zebraną całą gromadę.

Matka moja była ogromnie przestraszoną. Zaklinała Jaksę żeby się nie narażał, ale ten nie słuchał. Gniewny chodził niespokojnie po pokoju, zatrzymywał się przed oknem i wyglądał; miotał z ust wściekłe wyrazy i kiedy przyprowadzono przed ganek konia, wybiegł, wskoczył na siodło i puścił się ku karczmie.

Spodziewałem się czegoś nadzwyczajnego, więc z niespokojném biciem serca śledziłem oczami jeźdźca. Jakież było zdziwienie moje, gdy Jaksa, podjechawszy do karczmy, zatrzymał się, wyciągnął rękę, coś krótko przemówił i nagle, zawróciwszy na miejscu, puścił się pędem w przeciwną stronę. Tuman kurzawy wzbił się za nim na drodze i pociągnął się obłokiem. Wkrótce jeździec i koń zniknął mi z oczu.

Ten fakt stanął w umyśle moim nierozwiązaną zagadką. Jeżeli o co, to najmniéj o tchórzostwo nie podejrzywałem pseudo-kapitana. Człowiek takiéj olbrzymiéj siły!... Lecz nie miałem czasu długo się nad tém zastanawiać, gdyż wkrótce po odjeździe Jaksy, cała gromada z karczmy wprost zwaliła się do dworu i przez usta najpoważniejszych gospodarzy zaniosła do mnie zbiorową, a przez ekonoma i wszystkich oficyalistów popartą prośbę, o zniesienie tego nowego porządku.

— Bo to panie—mówili — jak wy nam co powiecie po dobremu, po ludzku, to my was ochotnie posłuchamy... Ale mówcie do nas jak do ludzi... wyrazami nie bębnem, wyrazami z serca nie z saméj tylko gęby, nie tak jak ten pan, co na nas dziś przez cały kry-

czał ranek i podjechał do karczmy, kiwał palcem i jeszcze krzyczał, a kiedyśmy chcieli z nim pogadać i powiedzieć mu żeby tak nie krzyczał, to uciekł...

Przyrzekłem im zniesienie nowego porządku i na tém się sprawa całéj awantury skończyła. Pięć dni jednakże w żniwa straciłem.

Takiém było gospodarowanie Jaksy, takiém jego mentorowanie. W przeciągu trzech lat pobytu jego w Kopystyńcach, wypłatał mi kilka psot, téj mniéj więcéj doniosłości co owa z bębnami. Nie będę jednakże innych powtarzał, bo musiałbym chyba, zamiast o sobie, mówić i bez końca mówić o Jaksie. A i tak będę musiał jego osobą was bawić, opisując zdarzenia, w których ona wplotła się w wypadki mego życia. Tu więc to tylko wspomnę, że żadne psoty przez niego płatane nie mogły zmienić dobréj o nim mojéj poczciwéj matki opinii. Według niéj, zawsze on chciał jak najlepiéj: nie jego wina, że wypadło jak najgorzéj. Oto, naprzykład, nawet w tym wypadku z bębnem, niesforność włościan i ekonomicznéj służby była temu winna, że pięć dni letnich przepadło. A kiedy wieczorem Jaksa powrócił i podkręcając wąsa powiedział:

— A co, jakem im nakiwał!...

Matka serdecznie mu podziękowała, mnie zaś powiedziała na stronie, że więcéj wierzy jemu niż chłopom.

To zdanie matki mimowolnie wywierało wpływ i na mnie. Byłem pod jakimś urokiem. Wewnętrzne przekonanie moje mówiło mi że Jaksa jest samochwalca i kłamca: mimo to—wierzyłem mu. Właściwie mówiąc, nie wierzyłem temu co on opowiadał, ale temu, że jest moim przyjacielem. Dla przyjaźni przeto przyjmowałem za dobrą monetę całe jego samochwalstwo i wszystkie kłamstwa i miałem go za męża silnéj ręki, stojącego obok mnie niezłomnie.

* * *

Wspomniałem, zdaje się, poprzednio o trzech latach. Trzy lata, w towarzystwie Jaksy, upłynęły w Kopystyńcach, nie powiem, jak jedna chwilka, ale dość prędko, na zajściach, których nie godzi się pracą nazwać, które atoli, niby praca, zabierały czas. Trochę gospodarowałem, trochę czytałem, trochę z ludźmi żyłem.

O gospodarowaniu mojém macie wyobrażenie z tego, co wyżéj o niem opowiedziałem.

O czytaniu to tylko mam do nadmienienia, że brałem się do niego z całym szlacheckim wstrętem. Książki mnie nudziły i zasypiałem nad niemi, a uważałem za wielki dla nich zaszczyt, żem je kiedy niekiedy do ręki brać raczył.

O życiu z ludźmi trzeba żebym słów kilka od siebie powiedział.

A najprzód pozwolę sobie na zrobienie pewnéj ogólnéj uwagi, która niech będzie odpowiedzią na zapytanie: co to jest, po naszemu, „życie z ludźmi?“

Życie z ludźmi, tak jak je pojmuję teraz, kiedy mi siwizna głowę przypruszyła, powinnoby mieć jakiś cel, cel do którego powinna prowadzić jakaś dobrze wszystkim znajoma droga, będąca wyrazem wzajemnych pomiędzy ludźmi stosunków. Czy my mamy jaki cel?—Myślę i myślę—i podobno mógłbym lata przemyśleć bezowocnie—bez wynalezienia tego filozoficznego kamienia, który w odnieieniu do społeczeństwa nazywa się „celem życia.” Żyjemy, niestety! bez celu. Z życia bez celu wytwarzają się stosunki bez znaczenia. Wegetujemy. Czas cięży. Staramy się ciężaru sobie ulżyć, czyli—jak się pospolicie wyrażamy — „czas zabić.” Oto macie życie z ludźmi.

Zabijamy czas. Do tego służy marnotrawne próżniactwo, składające się z różnych niby zatrudnień, dających się podzielić na trzy główne rodzaje: gospodarowanie, jedzenie i bawienie gości.

Czém jest nasze gospodarowanie? Poczciwa ziemia nie wymaga po nas jeszcze, ani nader wielkiéj nauki, ani też zbytecznego fizycznego natężenia się. Kto z wioskowych, jak ja, szlachciców posiada wstrzemięźliwości tyle tylko, że dochody i rozchody trzyma w równowadze, dla tego gospodarowanie jest tém samém, co dla zagranicznego rentiera gra w kręgle — zabawą, ruchem ciała rozbudzającym apetyt i pomagającym żołądkowi do trawienia.

Czém jest nasze jedzenie?—Powiadamy kuchnią, niestety! wyborną, która, dla tego właśnie że wyborna, szkodliwą jest. Zbytecznie czas do siebie przywiązuje i zanadto dużo czasu nam zabiera. Sześć godzin dziennie—i to w domach, w których cztery razy tylko na dobę jadają — spędzamy przy stole, to znaczy, odtrącając dwie godziny potrzebne na posiłek, w każdym dniu tracimy cztery godziny, czyli w każdym roku sześćdziesiąt dób, czyli, nie wliczając dla ścisłości rachunku nocy, tracimy w każdym roku sto dwadzieścia jeden dni, to jest, *trzecią część roku*—na czém? — na obracaniu językiem w gębie, dłubaniu w zębach i paleniu fajki.

Czém jest nasze bawienie gości? — Bawienie gości gra główną w stosunkach naszych społecznych rolę. Podnieśliśmy je do sztuki —do pewnego rodzaju artyzmu. Jest to komedya, zależąca na jak najlepszém udaniu uprzejmego gospodarza—komedya bez celu, nie prowadząca do niczego: ani do zbogacenia umysłu użytecznemi wiadomościami, ani do ubarwienia życia pięknemi myślami, ani do wytknienia drogi postępowego pochodu.

Nic i nic, próżnia, niby otchłań, od zapatrywania się w którą, w głowie się kręci. A że natura próżni nie cierpi, więc zapełniają ją brzmienia bez echa, frazesa przeżuwane, wyjawiane i natychmiast zapominane. W towarzystwach naszych, gada się, aby się gadało, o niczém; poważniejsi zaś, mężowie i ojcowie rozmyślają przy zielonych stolikach nad ważném głupstwem: co zadać, co odrzucić?

Rozmyślanie to przychodziło mi nieraz na myśl onego czasu. Niejednokrotnie zapytywałem sam siebie: do czego ja? To znak, że gdzieś tam, w głębi na samém denku mojéj duszy siedziało sumienie, i wysuwało się czasami, i rogiem mnie bodło. Lecz musiało się natychmiast w głąb ukrywać i rogi chować, bom sobie odpowiadał:

— Co ja temu winien, żem próżniak!... Kto winien, niech odpowiada.

Któż był winien? Przyznać potrzeba, że część winy ciąży na moich poczciwych rodzicach. Wypieścili mnie, wykarmili, wychuchali i w świat puścili z zawiązanemi oczami, nie wpoiwszy w umysł mój zasadniczych prawd, któremibym się mógł w życiu kierować. Chodziło im, jak chodzi wielu rodzicom, tylko i nadewszystko o mnie, o mnie samego. Przedstawiałem się im pod postacią klejnotu, do przechowywania którego potrzeba safianowego pudełka, wewnątrz puchowym aksamitem wyłożonego, zewnątrz starannie na klamerki zamykanego. Starali się więc dla mnie o to pudełko, o aksamit i klamerki—o to, żebym miał polor, kapitały i Kopystyńce. Posiadałem to wszystko i... nie wiedziałem co z tym fantem robić.

A bardzo pragnąłem o tém się dowiedzieć.

Dowiedzieć się—od kogo?—tu był sęk.

Od sąsiadów?—Mój Boże! co też to była za „szara gromada!”

Tymi dniami wpadła mi w ręce książka z wierszami i w niéj natrafiłem na następujący wyjątek, który się żywcem da do sąsiedztwa mego owoczesnego zastosować:

„O Dante! czyś ty widział takie kręgi,
Gdzie człowiek dobry chciałby ludzkich twarzy?
A w koło takie figury ciemięgi!
Taka gromada szara gospodarzy!...”

Muszę to sobie przyznać, żem był człowiekiem dobrym ale głupim, i dla tego właśnie, gdyby mi kto był dobre słowo powiedział, byłbym zmądrzał i dobrą poszedł drogą. Szara gromada nie odzywała się z niczém podobném. Starsi znajdowali mnie doskonałym chłopcem i w oczy mi podchlebiali, rowieśnicy brali mnie sobie za model, matki córek dorosłych okazywały dla mnie szczególniejsze attencye, a wszystkie panny na wydaniu robiły do mnie oczy tak słodkie, tak słodkie, że od téj słodyczy aż mi się ckło pod sercem robiło, jak od rozpuszczonéj w ciepłéj patoce lukrecyi. Moja zaś matka, przy każdéj okazyi, wciąż mi w ucho kładła jedno i jedno:

— Żeń się...

Byłbym się zresztą i ożenił, gdyby nie Jaksa, do którego w téj materyi moja matka się odwoływała:

— Panie kapitanie dobrodzieju, niech się Staś żeni...

— To niech się żeni...

— Z kim?

— Już ja mu, mamo dobrodziejko, wyszukam żonkę, że to ha!... Proszę się tylko na mnie spuścić...

— Och, panie kapitanie...—odpowiadała poczciwa matka, głosem pełnym zaufania.

Ja przeto nie potrzebowałem troszczyć się o siebie. Jaksa podjął się wyszukać mi żonkę. Jeździł. Nie bywało go niekiedy po trzy tygodnie i dłużéj w Kopystyńcach i powracał z niczém. Zapoznał się z całém bliższém i dalszém sąsiedztwem; tak umiał sobie „obywatelstwo” zjednać, że go niemal na rękach noszono; w każdym domu szlacheckim „pana kapitana” z radością witano, ze smutkiem żegnano—a goszczono, a karmiono, a pojono. Więc też używał, jak powiadał:

— Na wygodach i wyżerce...

W Kopystyńcach była, jak się wyrażał, główna jego kwatera, w któréj bywał najczęstszym i nibyto stałym, ale nie ciągłym go-

ściem. Gdy przyjeżdżał, miałem zwyczaj przy powitaniu zadawać mu następujące pytanie:

— Cóż żonka?

— A chce ci się?...—odpowiadał.

— I! nie bardzo...

— Jeżeli ci się chce, to mam... gotowiuteńką... Dziewka kieby łania!... A jeżeli ci się nie chce bardzo, to jeszcze trochę poczekaj... Wyszukam jeszcze ładniejszą...

Zmyślał. Poczciwiec zapomniał po co wyjeżdżał.

Matka ze swéj strony także go pytała:

— Cóż tam, panie kapitanie, żonka dla Stasia?...

— Jest, mamo dobrodziejko, nie jedna... dziesięć...

— Niech będzie tylko jedna...

— Kiedy jest dziesięć, to jest i jedna...

— Która?...

— A!... jaka to mama dobrodziejka ciekawa!...

Razu pewnego, kiedy byliśmy z matką sam na sam, matka po-

— Widzi mama!... — podchwyciłem, myśląc że brakiem owéj doskonałości potrafię matce jeżeli nie konieczność to nagłość żenienia się mego wyperswadować.

— O, nie...—odparła. — Takiéj pod słońcem nie ma, gdybym ja szukała sama... Ale znajdź ty i powiedz: „matko, oto ta a ta będzie twoją synową,“ a natychmiast twoja wybrana wyda się mi wcieleniem najwyższéj doskonałości...

Milczałem, czułem bowiem, że wyrazy matczyne tryskają prawdą miłości, i dla téj prawdy spróbowałem oglądnąć się nie tyle za żoną dla siebie ile za synową dla niéj.

Puściłem serce pomiędzy panny, jak się puszcza ze sfory gończego w knieję. Poszło, kręciło się, wietrzyło i nie zwietrzyło nic. Takie było moje szczęście. Pragnąłem się zakochać. Ani weź!

Próżnia w duszy, próżnia w sercu, próżnia do koła, ciężyły mi. Co tu począć?

— Ha!...—rzekłem raz sam do siebie.—Może za Kopstyńcami jest jaki świat...



Cerkiew wiejska. (Str. 158).

częła się szeroko nad korzyściami małżeńskiego stanu rozwodzić. Nie przeczyłem, bo nie było w moim zwyczaju dysputy z nią staczać. Musiałem jednakże na zapytania odpowiadać.

— Coś ten kapitan nie bardzo szczerze o tobie myśli—rzekła. —Od tak dawna już jeździ i nic nie wyjeździł... Rusz no się ty sam... Pojedź...

— Czyż nie jeżdżę!...—odparłem.—Całe już sąsiedztwo objechałem, raz drugi i dziesiąty...

— Czemuż się starać nie zaczniesz?... Czemuż sobie nie wybierzesz?...

— Kogo?...—podchwyciłem.—Niech mama wybierze sama.

— Moje dziecko!... Ja dla ciebie wybrałabym krew z mego serca... Ale, gdybym synowę wybierać chciała, to czekałabym do dnia sądnego i jeszcze bym wyboru zrobić nie potrafiła... Bo ty nie wiesz, jakiéj to na żonę dla syna potrzeba doskonałości, ażeby matkę zadowolnić mogła... Takiéj doskonałości pod słońcem nie ma...

I przyszedł mi na myśl Paryż.

— Paryż!...—zawołałem.

— Mamo, jadę do Paryża...

— Żartujesz?...—odparła z niedowierzaniem.

— Nie żartuję, jak mamę kocham...

— Cóż znów!... Myślałam, że ten nieszczęśliwy lwowski projekt umarł i pogrzebion i więcéj nie wskrześnie...

I byłby umarł powtórnie, gdyby mi był na pomoc nie przyszedł Jaksa.

— Po cóż ty tam?...—zapytała matka.

— Mam majątek — odpowiedziałem spokojnie — a majątek wkłada na człowieka pewne obowiązki... Kto ma dużo pieniędzy, może i powinien widzieć, wiedzieć i umieć więcéj niż inni...

(*d. c. n.*)

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 3 (15) Мая 1871 г.— Redaktor, Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*,